

ŚWIĄTEŁO

TYGODNIK ILUSTROWANY LITERACKI, ARTYSTYCZNY,
~ SPOŁECZNO-POLITYCZNY, POPULARNO-NAUKOWY. ~



LEGJONISTA.
(nagroda m. Warszawy).

M. ROGOWSKI.

BOHATERSTWO.



niema wyrazu bardziej człowiekowi bliskiego, bardziej przemawiającego do jego wyobraźni, do jego uczucia, niż Bohaterstwo. Każdy z nas, kiedy był dzieckiem, pragnął być Kościuszką, Cezarem, Napoleonem. Kiedy podraszał, marzył o bohaterstwie wyprawach Skrzetuskiego, spisanych znakomitem piórem autora „Ogniem i Mieczem“. Marzył o wyprawach, zapisanych na pergaminie „Poliów“.

Miałem dawnymi laty na wsi bibliotekę, z której korzystali miejscowi i okoliczni włościanie. Najwięcej powodzenia miała wśród tej publiczności Trylogia Sienkiewicza. Kiedyś, zimą wracałem pod wieczer z lasu. Szedłem polem zasłanym śniegiem. Zgubiłem drogę. Zapadała noc. Kędyś opodal zobaczyłem światelko. Pobrąłem w tę stronę. Zajrzałem w okno. Przy kaganku siedział chłopiec i czytał. Opodal cała gromada mężczyzn, kobiet, dzieci. Twarze zasłuchane. W oczach głębokie skupienie. Oczy chwytające jak gdyby każde słowo, płynące leniwe z ust sylabizującego lektora. Sam lektor rozplomieniony. Poznałem książkę: był to egzemplarz, zapożyczony z naszej biblioteczki. Egzemplarz Trylogii, trzykrotnie już oprawiony przez małomiatkowego introligatora, przez tyle bowiem rąk przechodził, taki był wycytany i podarty! Zastukałem do chaty. Chłopiec wystraszony schował książkę: myśleli, że to policja! Kazałem czytać dalej. Prosił, żebym chłopca zastąpił. Siedziałem wśród nich do późnej nocy. I gdy wychodził, zdawało mi się, że z cuchnącego kaganka naftowego biją płomienie.

W ciągu kilku godzin żyłem w atmosferze utajonego, jakże żywego, jaką tęsknotą wyczekiwanego bohaterstwa! Innym razem, w innej rodzinie włościańskiej porównywano „Kordeckiego“ J. I. Kraszewskiego z „Potopem“ Sienkiewicza. Stary Kućmiński twierdził, że „Kordecki“ nic nie wart a pan Kraszewski kiepski pisarz. „Dlaczego?“ pytałem „Bo to w „Potopie“ opowiedziane inaczej, całkiem inaczej. Człowiekowi aż ślepa z głowy wylażą, kiedy czyta. A pan Kraszewski trzy po trzy plecie, jak baba na odpuście...“

— „A może to pan Sienkiewicz się pomylił?“

— „Pan Sienkiewicz nie może się pomylić. To są cudzy. To jest prawda. To są bohaterowie *).“

Ubiegłej zimy zapytałem u znajomych małej dziewczynki, która często wymieniała nazwisko Naczelnika: kto to jest Piłsudski?

— „To jest bohater!“ — odpowiedziała z całą powagą mała Zuzula.

Na wszystkich szczeblach kultury, w każdej porze życia, poczynając od wczesnej młodości a niekiedy do późnej starości dowody bohaterstwa, wspomnienia bohaterstwa głębokie na człowieku czynią wrażenie. Nieraz u grobu Napoleona widziałem dokładnie to głębokie wrażenie na twarzach dziesiątków

ludzi prostych i wyrafinowanych, Francuzów i cudzoziemców, którzy tłumnie zbierają się u tego grobu, owianego stuletnią już i wciąż żywą legendą.

Kiedy Walerjan Łukasiński, także wielki narodowy bohater, innego już gatunku, nie taki, co z szabłą w dłoni przedzierał się przez wąwóz Samosierry ale taki, co samotrzeć szedł na wszechpotężnych carów i samotrzeć od spodu budował świątynię Niepodległości narodowej, katowany w Zamościu przez zbirów Konstantego, wespół z towarzyszymi niedoli, leżał na barłogu, czytał na głos Plutarcha. Stara to książka. Od czasu jak ludzkość zaczęła nanowo w epoce Odrodzenia czytać łacińskich autorów, od czternastego czy piętnastego stulecia, nieprzeliczone tłumy wszystkich krajów kształciły swoją młodzież szkolną, swoją młodą inteligencję na lekturze Plutarcha.

W XVIII stuleciu, w pierwszej połowie XIX stulecia kształcili się na nim wszyscy uczący się w szkole, czy w domu, Polacy. Plutarch, który już dawno powinieniby posiadać swoją polską edycję, zawiera biografie wielkich mężów starożytnej Romy i Hellady. Prosty, jasny, szlachetny językiem opowiada Plutarch dzieje tych, co lud swój prowadzili na pole chwały, zwycięstwa czy przegranej, opowiada dzieje męstwa Leonidasów i Mucjuszów, dzieje męstwa cywilnego Katonów i Marków Aureljuszów. Polski Plutarch mógłby wypełnić taką samą ilość tomików: Kościuszko i Chodkiewicz. Żółkiewski, i Pułaski, Traugutt i Montwiłł — Mirecki, Emilja Plater, tytu innych z dawnych i najbliższych czasów. Przed oczyma czytelnika przesunęłyby się niezliczone postaci wielkich budowniczych Państwa polskiego w dobie chwały i w dobie upadku, obrońcy honoru i rycerze sumienia narodowego: szlachcice, chłopcy, robotnicy, katolicy, protestanci i żydzi, bogacze i biedacy, czoło narodu i zapomiani bohaterowie tłumu. Marzyłem kiedyś o napisaniu takiej książki. Wielkiego ona wymaga talentu, wielkiego skupienia. Musi to być książka prosta i szczerą. Wolna od taniego patosu i wszystkich pióropuszków. Książka, co prowadzi na szczyty najwyższej ofiary bez koturnów i jubileuszowego kłamiwego bełkotu. Co z duszy bohatera dobywa wszystko, co w niej było wielkiego i czystego, odrzucając precz wszystko, co było przypadkowością i przystosowaniem. Książka ta opiewać będzie życie nie tylko bohatera w mundurze. Półtora wieku niewoli naszej stworzyło u nas całą galerję bohaterów cywilnych: agitatorów, pocieszycieli i nauczycieli. Byłaby to historia polskiego wzięcia na panowanie carów i kajzerów, historia spisków i cytańdel, historia wszystkich bojówek, całego pogotowia bojowego dla walki z żandarmem carskim, ze zdradą we własnem otoczeniu, z objętnością i oportunizmem ogółu. Historia wolnego człowieka, zatopionego w morzu niewolników i ten ogół wyprobującego, historia polskiego Leonidasasa. Historia polskiego Mazziniego i polskiego Garibaldiego *), historia, którą próbowała spisać Marja Zabojecka w „Powieści o Duszy Polskiej“.

Bohaterstwo, bowiem, nie bywa tylko wojskowe. Spotkać się z wrogiem, odepchnąć najazd, uka-

*) Opisałem przed laty te wrażenia w książce Drogi Samopomocy Społecznej (Płock 1904) w rozdziale: „Co lud czyta i dlaczego“.

*) patrz dzieło Pietro Orsi, „Dzieje Wyzwolenia Włoch“.

rać krzywdziciela i najeźdźcę, na tę myśl w wyobraźni każdego miłośnika bohaterstwa wyrastają skrzydła husarza i czarny pióropusz, i błyskawica strzela z oka — i wołamy *Victorial Victorial!* Jest inne jeszcze bohaterstwo: mówić prawdę i patrzeć prawdzie w oczy, nazywać rzeczy po imieniu, zdziierać maskę z oblicza komediantów. Poliszynela nazywać Pierotem a obłudnika — świętoszkiem. Albowiem w życiu społecznym zdarza się, że liczman bywa uważany za szczerą-złotą prawdę, a blagier, tchórzem podszyty, wymachuje szablą z drzewa na kolor stali pomalowaną, wmawiając w ludzi krzykiem steryzowanych, że to autentyczna szabla Sobieskiego-*Ach!* ten bęben cyrkowy, te blaszki i kokardki, te długie szable carskich huzarów dźwięczące po bruku wielkiego miasta! *Ach* ten złodziej na urzędzie państwowym, któremu dziennikarz, jak to u nas bywało, zdiera maskę z miedzianego czoła, zdiera carskie ordery i woła na całe społeczeństwo: złodziej, łapownik, oszust! Ludzie nie wierzą. Gotowi potępić śmiałka, który poważa się autorytet instytucji państwowej osłabić, zacnego radcę stanu potępić, ojca rodziny, szlachcica oszkalować. Najemny pismak rzuci się na cię, może i gdzieś z za węgła domu, w pomroku wieczoru kij zdradziecki uderzy cię po plecach. Przyjdzie chwila, kiedy i pismak zamilknie, kiedy i opinia publiczna wieniec ci złoży zasługi. Bohater, kto odważy się iść przeciwko tchórzom i przeciwko bezwładowi gromady ludzkiej, kto nie zważa na prawa zdobyte, uznane, herbową okryte pieczęcią.

Zacny pijar ksiądz Krupiński lubił opowiadać, że kiedy w Wielkim Sejmie Butrymowicz i przyjaciele jego, zabierali głos w przedmiocie uporządkowania

i reformy sprawy żydowskiej, tłum szlachecki wołał: „wziął od żydów pieniądze”. A gdy mówił kto przeciwko żydom, przeciwko reformie, wołano: „chce od żydów pieniędzy”. Butrymowicz, zacny poseł białoruski, był bohaterem. Nie bał się zgrai głupców, którym zdawało się, że są patriotami. Byli tylko patriotami szerokiego gardła i wąskiej piersi. Patriotami bez rozumu i grabarzami klejnotów, które pogrzebali na stepie Targowicy. Przetrwało bohaterstwo Butrymowiczów i dziś świeci blaskiem niegasnącym, wiecznie żywym poczucia obowiązku narodowego, myśli o narodzie, o jego przyszłości i promienności jego imienia.

Dziś więcej, niż kiedykolwiek, potrzeba nam kultu bohaterstwa. Prawdziwego, szczerego bohaterstwa. W polu i w domu. Od wschodniej i od zachodniej ściany. Bohaterstwa głębokiego, wytrwałego, klejnotu, który nurek wynosi na powierzchnię świadomości z głębokiego nurtu duszy ludzkiej. Nie liczmanu, surogatu złota albo pereł nie pustych, bez echa przemijających słów, ale bohaterstwa wojskowego i głębokiego czynu, co poczyna się z krwi serdecznej, z zapomnienia o sobie, o swojej ambicji i pysze, co początek bierze w miłości i całe jest miłością ogółu, zbiorowości, ojczyzny. Co słucha rozkazów Wodza i sumienia, co zdiera maski obłudne, depcze puste baloniki frazeologii okolicznościowej. Co staje jasne, promienne i woła: *jestem!* Gdzie praca najcięższa — tam pójde! Gdzie największe niebezpieczeństwo, tam mniej wyślij, Naczelniku!

Takie tylko bohaterstwo znajdzie sobie przyszłego Plutarcha.

Stanisław Posner.



SERENADA.

Całe miasto tknął dziś jakiś
Roześmiany los;
Ludzie, gdym się tutaj skradał,
Smieli mi się w nos.

Mandolina mi zagrała
Jakiś głupi śpiew,
Śmiechy puste biegły za mną
W parku pośród drzew.

Księżyc widać stracił rozum
I ma dziwną twarz:
Coś na błazna dziś mi patrzy
Nocny władca nasz.

„Gwiazdy ponoć się upiły“ —
Tak ktoś szepnął mi,
Kto też nie był całkiem trzeźwy
I miał pijane sny.

Wróżka z bajki dziś odbyła
Uroczysty wjazd,
A sam burmistrz ją przyjmował
W srebrnym mroku gwiazd.

W środku rynku — sam widziałem —
Jasnych duchów tan;
Pono paproć dziś rozkwitła,
Jak na święty Jan.

Miejskie sady się złączyły
W jeden wonny chór,
A w srebrzyste dłonie klaszczą
Im strumienie wtór.

Nawet kwiaty szepczą jakieś
Słodkie trzy-po-trzy
A w mej głowie płoną całkiem
Już niemądre sny.

Coś oszalał dziś świat cały,
Roześmiany świat,
Każdy jest mi dziś rodzony
Po szaleństwie brat.

Tylko serce twe spokojne,
Zimną mowa twa...
Bądź dziś trochę nierozsądną
I ty, pani ma.

W. Horzyca.

MAZUREK CHOPINA.

Graj mi, skrzypko, graj,
Graj mi skoczny tan,
Takie dziwne twoje tony,
Jak płacz duszy opuszczonej
Nie rozdrapuj ran
Graj mi, skrzypko, graj...

Do drzwi puka ktoś,
Niespodziany gość:
Chodź że, chodź że tu, kostucho,
Czapka na bok i za ucho —
Wyprawimy bal,
Zanim pójdziem w dal...

...Jak ci dziwnie twarz się śmieje,
Patrz, ze skrzypki krew się leje,
Smyczek zwilżał łą,
Struny mi się rwą...

Graj mi, skrzypko, graj,
Serce w strzępy rwij,
Już nikomu nic do niego,
Nikt nie ciekaw serca mego,
Rzucę je za próg
Niech je zdziobie kruk...

Co tak, kostuś, ci się śpieszy,
Tęskno do dom, do pieleszy?...
Ze strun idą skry!
Ale, skrzypko, ty
Byłaś mi jak serce własne,
Teraz o piec ciebie trzasnę...

Ze strun płyną łzy,
Palce pełne krwi...
Był raz chłopiec — umarł chłopiec,
No, i trzasnę ciebie o piec,
Skrzypko ty!...

Tadeusz Łopalewski.



WYSPA ZAPOMNIENIA.

13)

Im dłużej żył, tem trudniej było się ludzi. Stargał młode siły, a nie dobył się z dna, nie wypłynął.

Śmierć czekała, cierpliwa. Nie kusila już więcej w momentach rozpaczy, a poprostu odzywała się codzien i spokojnie.

— Cóż cię czeka innego? Musisz wrócić do mnie, bo we mnie jedyna prawda twego losu. Ja jestem koniec i odpocznienie.

Z udręczeń życia i z rozmyślań nad śmiercią, poprzez chaos opętanych myśli utworzyło się w nim wreszcie niezłomne i jasne, własne rozumienie tych spraw ostatecznych.

Niewiadomo, czym jest śmierć. Jedno o niej wiadomo, że przychodzi na każdego.

Czy przerywa nieodwołalnie fakt istnienia? Czy niszczy tylko ciało? Czy zaciera wszelką pamięć spraw ziemskich?

Może jest nicością, wiecznem milczeniem i ciemnością. Może otwiera byt niepojęty, nieśmiertelne istnienie w wieczności. Może jest nagrodą i karą. Może jest jeszcze czemś innym, a zawsze nieodgadnionem.

Dla ludzi wszystko to jedno, bo każdy wie, że umrzeć musi. Przeżyje swoje dni na ziemi i odchodzi. Tam zobaczy. Cokolwiekby chciał, cokolwiekby sobie wymarzył niedołężnym mózgiem, czegokolwiek by się lękał — śmierć odsłoni mu kiedyś swoją tajemnicę i sama rozstrzygnie.

Ludzie zwyczajni, ci co umierają swoją śmiercią, mogą tylko bać się i czekać swojej godziny.

Inaczej on i każdy, który zamierza przyspieszyć własny koniec.

Tacy gorączkowo pracują mózgiem i chcą i muszą naprzód wiedzieć, dokąd idą, na co się skazują? Mają do wyboru wiadome i nieznanne. Myślą i mordują się zgadywaniem, straszną grą o życie i śmierć. Wreszcie wybierają.

Jedni giną z halucynacją jakiejś prawdy, inni w szaleństwie i zamęcie, a reszta składa broń, godzi się na to, co ma i powraca do nieznośnego życia.

On też rozstrzygnął po swojemu. Nie mógł sobie poradzić z życiem i chciałby już skończyć. Wołał śmierci, ale sam siebie zabić nie chciał i nie mógł.

Wyzywał tedy śmierć na wiele sposobów. Szukał jej na polowaniach na grubego zwierza, na morzu i w bójkach. Przygód miał dużo, ale zawsze ginęli inni. Żałował, że niema na świecie wojny, gdzie by mógł nadstawić kulom swoją znieawidzoną osobę.

Tak płynęły lata.

W ciągu tych lat nurtowała w nim ciemna i poczwarna idea, żłobiąc sobie ujście, jak podziemny potok. Przebijała się ku świadomości i zaledwie zostawała poznana, cofała się w głąb, na dno duszy. Przycichała, ale nie gasła nigdy. Zjawiała się we śnie, jako jedyny ratunek, wybuchała w chwili rozpaczy, jak straszliwe przekleństwo i sprawiała ulgę, jak to bywa, gdy w nagłym bólu człek zaklnie bezecnym słowem. W rozumnym, opanowanym myśleniu nie pojawiała się nigdy. Czaiła się gdzieś po tajemnych czeluściach duszy, zawsze pełzała w ciemno-

ści, jak zwinna poczwara, której niepodobna przychwycić. Kasała uśpionego i piła jego krew, żyła, rozwijała się, dojrzewała.

Nieznacznie opanowywała duszę śmiertelna zaraza — opętanie jedną wyłączną ideją, która z dnia na dzień urabiała i przerabiała człowieka, prowadząc go ku jakiejś dalekiej, ciemnej godzinie wypełnienia.

VIII.

Mistress Dugdale grała sonatę Beethovena. W przyćmionym salonie panował czar nieśmiertelnej muzyki, jej powaga, czystość i prawda.

W swoim ulubionem miejscu, w głębokim fotelu, pod osłoniętą lampą, siedział mister Dugdale z tomem Milтона w ręku i drzemał. Uwielbianego Beethovena słuchał zawsze, mając przed oczami uwielbianego poetę. Razem wytwarzali oni bowiem najgłębszą potęgę, której nie wyraża ani muzyka, ani słowo. Drzemał słodko stary, drogi mister Dugdale, a w jego pięknem obliczu zastygło upojenie.

— Mister Hanks, teraz — dla pana...

Wypowiedziała to cicho swoim niskim głosem, nie odwracając oczu od nut. Hanks wychylił się z fotela w milczącym ukłonie.

Ze swojego osłoniętego cieniem miejsca widział wyraźnie oblicze obojga, żony i męża. Oboje byli piękni. Niepodobna w sobie wyrobić, nadać sobie przez kulturę lub skłamać tej spokojnej, pogodnej szlachetności i głębi, jaka rzeźbiła się w ich rysach i jaśniała w całej postaci obojga. Byli wyrazem świetności swojej rasy, wszystkiego co w niej wielkie, zdrowe, prawe.

On dobiegał sześćdziesiątki, ona była w pełni najcudniejszych kobiecych lat, w pierwszych dniach swojej jesieni. Mogła być jego córką, a tworzyli tak piękny dobór dwojga ludzi, że nikomu nie przyszło by na myśl liczyć i rozważać ich lata i biadać, lub stroić kpiny, jak się to czyni wszędzie.

Hanks upajał się muzyką i patrzył z rozkoszą na tych dwoje, jedynych na świecie swoich przyjaciół. Śnił swoje wspomnienia z przed trzech niespełna lat, kiedy ścigany wiecznie trawiącym niepokojem zapędził się w te strony.

W niezmiernej przestrzeni cichej Kanady, nad wielkiem, spokojnem jeziorem, pośród posepnych lasów, które tak żywo, tak serdecznie i okropnie przypominały stary kraj, znalazł ich dwoje. Zdawało się, że szukał ich mozolnie i długo i wreszcie cudem odnalazł. A oni — śnać tęsknili za nim latami i czekali na niego. Zdumiewająco szybko zbliżyli się do siebie na tym nieufnym świecie. Pokochali się w dziwny sposób.

Spadł tu z przestrzeni przed trzema laty, nieznamy nikomu, a dziś jest tu najdroższym synem i bratem. I więcej, rzecz, która dotąd zdumiewa ludzi w mieście tartaków, nieznaną, młody człowiek, z mizernym kapitałem, cudzoziemiec z końca świata, słowem, niejaki Robert Hanks zostaje współnikiem starego, wytrawnego przemysłowca, wielkiego na całą Manitobę „Króla desek“.

Pewnego dnia, gdy powracali z objazdu lasów, tartaków i przystani, na szerokim zakręcie jeziora Winnipeg, gdzie z morza lasów wznosi się naga kopuła Wyspy Łabędziej, w pamiętnem miejscu, stary bogacz odezwał się w te słowa do swojego nowego urzędnika:

— Słuchaj, Hanks. Znam ludzi i wiem, co się w tobie dzieje. Ciebie coś gnębi. Oddawna ci ciężko. To twoja tajemnica, a choćbym pytał, nie opowiadaj nic, bo tak będzie lepiej. Patrzą na ciebie oddawna bacznie i niemal wiem wszystko. Tobie trzeba ludzkiego serca. Szczegóły mnie nie obchodzą, mogą być sobie najrozmaitsze. Spotkała cię ciężka krzywda? Nie ufasz już nikomu na świecie? Trawi cię nienawiść? Nikt do ciebie ręki nie wyciągnął z przyjaźnią? Ja ci ofiarowuję moją. Bądźmy przyjaciółmi! Ja, ty i Enith.

Hanks ścisnął rękę starego i nie wierzył własnym uszom. Tak się to dziwnie zaczęło.

Dwa lata temu był nieszczęsnym wyrzutkiem, niepotrzebnym ani ludziom, ani sobie. W martwej jego duszy kołatała się jeno ponura nuda. Każdy jego dzień, każdy krok był przymusem.

Jedno szczere i ludzkie spojrzenie, jedno słowo prawdy, jeden uścisk dłoni. I dzisiaj, po dwóch latach...

Dzisiaj Enith Dugdåle jest jego tajemną kochanką. Jako zaufany współnik męża na mocy fałszywych rachunków i podstępnych weksli, jest posiadaczem ogromnej, ukradzonej sumy. Trzyma ją odłożoną w biletach bankowych w ciągłym pogotowiu. Bo lada dzień wyda się i jedno, i drugie. Kto wie, może jutro...

Dalej w świat! Coraz dalej... Wyśliznie się ze swojej przybranej osoby, jak wąż ze zużytej skóry. Zginie, zgaśnie Robert Hanks. Urodzi się ktoś inny. Zacznie się coś nowego. Życie jest pasmem snów.

Łka sonata i spowiada się i spowiada dusze ludzkie. Drzemie mister Dugdåle między Beethovem a Miltonem, świecą w półcieniu, jak płomień, rude włosy cudnej Enith.

Hanks patrzy w swoją ciemną duszę i widzi w sobie to, czego nie zaznał jeszcze: błogość zemsty—dumą zbrodni.

Czuje siłę, która zdola dźwignąć wszystko. Dokończył się czas niedoli. Teraz jest gotów na każdy los—nie poradzi mu ani zgrzyota, ani tęsknota. Pamięta o sobie wszystko i drwi.

Bezmierną, wszechmocną jest potęga jego odwagi. Jest nareszcie wolny! Wyzuł się z praw ludzkich i boskich. Porusza się w nim i oto już żyje nowa istota. Rodziła się w męce długich lat, wyżerała z duszy, ze serca, wszystko co było słabe i ludzkie, karmiła się bólem, jękiem, szaleństwem. Aż opadła pusta powłoka duszy, jak śmieszna larwa. Wyleciał poczwarny, świetny motyl i mknie ku słońcu w radości i dumie. Nowourodzony bóg ziemski—człowiek bez wahania i bez trwogi. Bez czi i wiary.

Nieprawdopodobne dzieje.

Teraz, gdy myśli o sobie spokojnie i rozważa, zdumiewają go drogi któremi doszedł aż do tego dnia. Zdawało się niepodobieństwem, że nie zginął, że nie oszalał, a wybrnął, że może żyć i że chce żyć długo, górnice—nie po ludzku, a po swojemu.

Jak zdołał on, tułacz odtracony i zabłąkany, odnaleźć prawdę swego losu? Jak poważył się wziąć we własne ręce swoje prawo i rządzić się niem, nie oglądając się na nic?

Pamięć o długiej niedoli zdawała się gorączkowym snem jakiejś okropnej choroby. Dzisiaj, gdy ozdrowiał, nie może już zgłębić nędzy, którą przeszedł. Utracił klucz do przeklętej przeszłości. Nie rozumiał tamtego siebie, tak samo, jak człowiek uczciwy nie zdola zrozumieć zatwardziałego zbrodniarza.

O, ta jego ukrzyżowana cnota, ileż bezcennych młodych lat życia zagubił, nosząc się z nią, jak ze świętością!

Ileż trudu trzeba było, żeby złamać w sobie głupią próżność porządnego człowieka, przesąd uczciwości! Żeby się wyzbyć nałogu—hodowania swego znieważonego honoru w ponurej tajemnej czci, naprzekór wszystkim szczerym głosom które wołały w nim: Opamiętaj się! Zbuntuj się! Żył!

Urodzony niewolnik nie umiał się dźwignąć ze swego szlachetnego upodlenia, ze swojej zajadłej pokory. Własnymi rękami zbudował swoje więzienie. A potem. Tyle potrafił, że bił jeno i bił o mur tą nieszczęsną głową.

Uratował go głos tajemny, z za świata mówiący. Pewnego dnia, usłyszał w sobie niespodziewanie szept prawdy

Było to, jak błyskawica wśród ciemnej nocy. W tem jednym mgnieniu oka poznał prawdę. Może ją to nosił w sobie oddawna, jako pokusę zatacenia? Może przed nią to wzdrygał się w przerażeniu w tylu okropnych chwilach? Jej to poczwarne oblicze zapamiętał ze swoich dręczących snów? Nie wiedział, gdzie znalazł bezcenny skarb przyjaźni i gdzie po raz pierwszy za tułactwa swego nareszcie kogoś pokochał. Był to bóg ludzi wolnych, tych, którzy walczą mężnie, nie poddają się do ostatka i przełamują swój los. Ozwał się nad nim jego potężny głos, który głuszy jęki świata.

Odważ się na zbrodnię, bądź nikczemnym! Zemsta to twoje święte prawo! Sponiewieraj swoją cnotę, bądź wolnym człowiekiem, nie lękaj się podłości! Uczcij jedyną prawdę świata—wieczyste zło!

Gdy ostatkiem dawnego przesądu prawości, tego nałogu niewolnika bronił się przed straszliwą prawdą, gdy w ostatnim jeszcze odruchu wzdrygnął się przed skalaniem czystego daru serc, które otwarty się przed nim jakby cudem, duch zła odsłonił przed nim resztę swojej mądrości. I stanęła przed nim nareszcie prawda jego losu w zupełnym obnażeniu.

Oto bóg wieczystego zła oddawna miał go w opiece. Nie dawał się poznać, ani zgłębić, a kierował jego losem. Dał mu się mordować, błąkać się przez długie lata, aż wymęczył w nim, jak w surowej szkole, przeczcucie prawdy. Przygotował go do poznania prawdy i oto ją odsłonił.

Czyż sam ze siebie i tylko z głupiej dobroci przygarnął go do serca nieznajomy, zacny człek? Czyż tak się zdarza w życiu? Nigdy.

Ślepem narzędziem losu jest poczwarny król tartaków, sektarz chrześcijaństwa, stary mister Dugdåle i jego uroczna żona. To jeno dwa cienie, wywołane przez los, ażeby wypełniła się woła przeznaczenia.

Jakże szybko i łatwo stawało się wszystko. Jak w bajce.

Dopuścił go obcego do zaufania, wyniósł go

na swego współnika ostrożny, rozważny człowiek. Teraz wie, skąd to zaślepienie.

Przyjął go w dom, jak syna. Jakże słaby był opór czystej Enith, wiernej żony... Samo stawało się wszystko, jak we śnie. Szło szybką koleją, jak w zmyślonej powieści, ułożonej kartka po kartce.

O Enith, rudowłosa królowo z nad jeziora! Słodkie twe usta, ale rozkoszniejsza nad ciebie słodycz zwycięstwa nad losem, radość wyzwolenia!

Dobiega do końca sonata, domawia ostatnich słów. W akordach finału spowiada się Enith z ponurego swego szczęścia, ze swojej męki i rozkoszy. Śpiewa hymn na cześć przeklętych pocałunków, i wzywa na siebie najsroźszej pomsty za zbrodnię miłości. Korzy się przed karą sprawiedliwego Boga, ściele się u stóp szatana, który ją opętał. Dobro i Zło śpiewa w niej strasznym dwugłosem swoje dwie prawdy i obie wchłania dusza, rozdarta na poły.

Gaśnie ostatni akord. Nie odrywając palców od klawiszów, w porywie niepomnym już na nic odwraca głowę i wpiera w kochanka przepaściste, znękane oczy. Pyta go, błaga i kocha, kocha na wieki.

— Powiedz, panie mój, co mam jeszcze uczynić? Rozkazuj niewolnicy, jaką nową zbrodnią ma dopełnić tamtej? Jam gotowa. Brnę, zagłębiam się w piekło i tonę, tonę w grzechu. Dalej! Głębiej! Do dnia niedługiego kary i pomsty. Uderzy we mnie słuszny gniew Boga i niechaj zginę! W hańbie i w poniżeniu ciebie wiecznie pamiętać, wiecznie uwielbiać będę.

— Enith złotowłosa, kochanko, czysta w grzechu, rozkoszna w każdym pocałunku, który mi dajesz przez łzy... Nie wzywaj kary, bo ona blisko... Nie przysięgaj wiecznej miłości, bo nie wiesz, kogoś pokochała. Rychło się dowiesz...

— Cudna i święta nasza miłość. Ona przeraża ogromem cały świat. Pod samo niebo sięga nasze szczęście, Bóg na nie patrzy. Może przebaczy?...

— Djabeł mnie na ciebie nasłał. Po twoją czystość, po twój spokój. Depcąc po tobie, drwiąc z twojej miłości, zdobyłem wolność, uciekłem od upiorów starego życia. Odrodziłem się i już do końca będę spokojny. A ty zginiesz. Giń!

Tak rozmawiali, tonąc w sobie oczami. Wśród ciszy wieczoru, gdzie zdawały się jeszcze błąkać i wspominać przebrzmiałe głosy sonaty, słyhać było od jeziora, z oddali, przenikliwy jęk pił, pracujących po nocy na tartakach. Wyły w nich przejmujące skargi i bóle i zawzięta czyjaś ku czemuś nienawiść i tryumfujące szyderstwo.

— Tak, tak, ocknął się mister Dugdale, — słyszycie nasze kochane piły? To twardy głos pracy budzi nas z upojenia muzyką. Święte są oba te głosy. One wypełniają nasz żywot. Tak, tak... Późno już. Jakże piękny był dzisiejszy wieczór! Cudownie, serdecznie grałaś dzisiaj, Enith. Pójdę już spocząć. Dobranoc, Enith, dobranoc ci, Hanks. A jutro zaczynamy bilans—to dla ciebie dwa tygodnie ciężkiej pracy...

— Skończę wcześniej...

I dodaje w myśli: jutro rano będziesz miał swój bilans.

Po chwili wyszli z Enith na taras i patrzyli w milczeniu na przestwór jeziora. Po drugiej stronie zatoki jarzyły się roje świateł i odbijały się we wodzie. Warczały, zgrzytały w oddali piły tartaków, idących dzień i noc. Krajały ciszę wieczoru, drażniły, zdawały się wżerać w mózg.

Enith chwyciła go pod ramię i przytuliła głowę do jego piersi. Przygarnął ją do siebie mocno, serdecznie, nie inaczej jak zawsze, choć wiedział, że trzyma ją w uścisku po raz ostatni.

— Tyle ci mam powiedzieć, ach tyle... To od dawna już wzbiera we mnie, a nigdy nie umiałam wypowiedzieć. Gdy przebywam z tobą, zawsze jestem, jak odurzona, a to są bardzo, bardzo ważne rzeczy. Pozwól mi mówić, wysłuchaj mnie, gdy będziemy znowu—tam... Kiedy?

— Chyba za jakie trzy, cztery dni. Dam ci znać zwykłą drogą — odrzekł spokojnie, choć wiedział, że nigdy się nie zobaczą więcej.

— Ja nie mogę tak dłużej. Musimy coś postanowić nareszcie. Musimy zrobić coś okropnego... Wyjawić wszystko? Uciec w świat? Zabić się? Ja nie wiem — jedno wiem, że cię kocham na śmierć i życie, że zrobię wszystko, co zechcesz...

Szeptala długo w uniesieniu, tuląc się doń. Skarżyła się, modliła się do niego, pieściła go każdym swoim słowem.

Hanks nie słuchał już, myślał o sobie i o tem, gdzie będzie jutro o tej porze. Przeglądał sobie plan zawczasu ułożony. Już go ogarniała gorączka dalekiej podróży. Zasiadzał się. Rad będzie rzucić te miejsca i porzucić tutaj dawnego siebie. Co za rozkosz zapomnieć o wszystkim, co było, odrodzić się w innym człowieku, rozpocząć nowe istnienie!

Co będzie dalej? Wszystko być może! Porwie go ze sobą potężny wicher życia i poniesie w szeroki świat. Jak drapieżny ptak, rozpostrze skrzydła i zawiśnie w górze ponad dobrem i złem, będzie mknął, chwytając swoją zdobycz, nienasycony wrażeń, przygód, rozkoszy. Czuł w sobie głód życia i wszystkich jego żądź. Niezmierną zdawała mu się własna potęga.

Może być teraz zarówno szlachetnym, jak i podłym, spokojnym i szalonym. Może być mordercą, złoczyncą i statecznym obywatelem, rozpustnikiem i wiernym mężem, dobrym ojcem. Dzikim cow boyem i marzycielem, zagrzebanym w książkach, obdartym bezdomnym włóczęgą, lub bogaczem gromadzącym skarby.

Wszystkiem stać się może i wszystkiem być chce. Czuje w sobie tysiąc istnień, rwących się do życia. Tętni w nim bujna siła i porywa się na rzeczy szalone, najtrudniejsze. Dalejże w świat!

Pijany był swoją nieokielznaną wolnością. Oderwała się od niego, jak rzecz obumarła, dawna, ciężka pamięć. Odrazu wbił się w górę. Był szczęśliwy.

Obrócił ku światłu twarz kochanki i patrzył w nią długo, w upojeniu swojej potęgi. W bezgranicznym oddaniu podniosła ku niemu cudne, czyste spojrzenie. Smiało, bez cienia wstydu, bez odrobiny żalu napawał się swoją władzą nad nią, swoim okrucieństwem i tą jej straszliwą męką, która się zaczyna już od jutra.

A. Strug.

(Ciąg dalszy nastąpi).



POŻYCZKA ODRODZENIA



ZMIENIŁA SIĘ DZIŚ W

Pożyczkę Obrony Polski!

Nie wolno więc namyślać się ani chwili, trzeba szybką i wydatną subskrybcją oddać głos swój w dziejów plebiscycie za istnieniem POLSKI WOLNEJ i NIEPODLEGŁEJ—lub zaniechaniem subskrybcji oświadczyć się za nową niewolą, stokroć od tej, co była, haniebniejszą.

WARSZAWSKA SZKOŁA SZTUK PIĘKNYCH.



wolnych państwach Akademje Sztuk Pięknych są utrzymywane przez rząd — nauka w nich jest bezpłatna. Państwo nie tylko utrzymuje szkoły i daje uczniom, najczęściej niezamożnym, zasiłki podczas trwania studjów lecz opiekuje się nimi i po skończeniu

nauki — zdolniejszych z nich wysyła do innych krajów dla dopełnienia studjów przez poznanie w oryginałach sztuki tych krajów. U nas Szkołę Sztuk Pięknych, istniejącą przy tak zwanej Szkole Głównej zamknęli moskale po powstaniu w 63 r. i stolica kraju przez lat kilkadziesiąt pozbawiona była wyższej uczelni artystycznej.

Odbiło się to ujemnie na kulturze artystycznej naszego miasta i kraju. Młodzież, chcącą studjować sztuki plastyczne, wyjeżdżała do Petersburga, Monachjum i t. d. — odrywała się od własnego środowiska i w czasie, gdy człowiek jest najwrażliwszy, ulegała wpływom obcym, często wrogim.

Własną placówkę artystyczną mieliśmy tylko w Krakowie.

Warszawska Szkoła Sztuk Pięknych powstała u nas, dzięki ofiarności prywatnej, przed laty kilkunastu. Z początku swego istnienia mieściła się ona w domach prywatnych, których urzędzenia nie odpowiadały potrzebom szkoły — wiele z tego powodu i uczniowie i profesorowie musieli znieść niewy-

god. Dopiero przed kilku laty szkoła otrzymała gmach własny umyślnie w tym celu zbudowany i dobrze do celów nauki przystosowany. Gmach ten wzniesiony został dzięki środkom pani Eugenji Kierbedziowej. Utrzymanie szkoły leży w ręku rady opiekuńczej, która dostarcza środków. Szkoła jest płatna, opłata szkolna jest dość wysoka, co utrudnia studjowanie w szkole ludziom niezamożnym.

Pod względem materialnym szkoła od początku walczy z dużymi trudnościami i nie może się z powodu tych trudności odpowiednio rozwijać. Część swego gmachu zarząd szkoły odnajmuje, zamiast umieścić tam swoje pracownie. Ta trudność związania końca z końcem tamuje rozwój szkoły. Nie mniej dzięki wysiłkom i pracy profesorów i młodzieńczemu zapałowi uczniów, wyniki prac szkolnych są duże i godne uwagi wszystkich, którym jest droga sztuka Polska i jej przyszłość. Szkoła w ciągu swego krótkiego istnienia wykształciła takich dzielnych artystów, jak Tadeusz Pruszkowski, Soruciński, Płonowska, Plewińska, Kamińska, Nałkowska, Roguski i inni. Obecnie kształci się w szkole cały zastęp młodzieży artystycznej. Urzędowa w końcu roku szkolnego wystawa przedstawia się bardzo interesująco. Widać w niej wiele szczerego wysiłku i pracy uczniów i profesorów, oraz wiele młodych, dążących do wyrażenia swej artystycznej wizji talentów. Wystawa szkolna jest żywa i świeża, a to już bardzo wiele. Szczególniej podnieść należy dążenia kursu prof. Trojanowskiego do odrodzenia malarstwa al fresco na świeżym tynku. Technika ta nadzwyczaj-

nie trwała ongi, gdy ludzie malowali gmachy publiczne nie na lat kilkanaście lecz na wieki całe, stała na bardzo wysokim stopniu rozwoju. Później została zaniechana. Dzisiejsze dekoracje maluje się na płótnie olejno, lub co gorsza, klejąc na murze. Wskutek tego świetne dzieła dekoracyjne Matejki i Wyspiańskiego blekną i nikną z roku na rok. Wielka więc jest zasługa prof. Trojanowskiego, że zanedbaną technikę odnowić usiłuje.

Również cennem jest wprowadzenie kucia w kamieniu i w drzewie, na kursie rzeźby prof. Wittiga. Prace w tych materiałach wyrabiane świadczą o dużym opracowaniu materiału, talentach ich twórców oraz o inteligentnym mądrym kierownictwie.

Żałować trzeba, że szkoła, mając tak obszerny i dobry gmach, nie wykorzystuje go odpowiednio, lecz odnajmuje. Uderza przykro brak kursu grafiki w szkole. Dążenia wśród uczniów w tym kierunku są bardzo piękne. Są to prace przygotowawcze. Niema jednak urządzeń technicznych. Szkoła powinna koniecznie mieć należycie postawiony kurs graficzny, zawierający litografię, drzeworyt, akwafortę, miedzioryt, linoleoryt i wszystkie tych technik odmiany. Grafika to technika pozwalająca mnożyć w wielu egzemplarzach oryginał dzieła sztuki. Kurs więc taki ma pierwszorzędną doniosłość dla szerzenia kultury artystycznej wśród szerokich mas i powinien być koniecznie otwarty. Inna nasuwająca się uwaga to brak kursu witrażów. Kurs, na którym pracuje się nad wielką dekoracją ścienną, moim zdaniem powinien zaniechać wspólnych studjów aktu i głowy. Na tym kursie powinni pracować ci artyści, którzy mają dążenia i zdolności dekoracyjne, nad kompozycją piękna i wogóle malarstwa dekoracyjnego w wielkim stylu, oraz nad kompozycją, wględnie wykonaniem witrażu.

Bardzo też dobre są i w szkole dające duże rezultaty artystyczne wycieczki pejzażowe za miasto. Pejzażyści tygodnie całe spędzać winni wśród przyrody, co zresztą uczniom szkoły ułatwia bliskość Wisły i Saskiej Kępy. Narzuca się więc potrzeba urządzenia w szkole klas poświęconych malarstwu dekoracyjnemu, malarstwu pejzażowemu i grafice.

Instytucja taka, jak wyższa szkoła artystyczna, gdzie odbywają się studia najzdolniejszych ludzi, mających w przyszłości nadawać swój ton życiu artystycznemu Polski, nie powinna się opierać na środkach prywatnych, lecz powinna być upaństwowioną. Państwo znaleźć powinno środki dla utrzymania i rozwoju tej tak ważnej placówki naszego życia artystycznego — wtedy szkoła będzie bezpłatna, wtedy nie trzeba będzie odnajmować doskonałych sal instytucjom prywatnym lecz umieści się w nich pracownie tak potrzebne do tego, żeby szkoła w całej pełni żyć i rozwijać się mogła.

To, co dotąd zostało zrobione, zasługuje na szacunek i uznanie, lecz w stolicy kraju powinna być akademja sztuk pięknych którą była istotną matką sztuk pięknych, w której od architektury, aż do drzeworytu można byłoby studjować wszystkie dziedziny na rozległych obszarach sztuki.

Prócz zaś akademii sztuk pięknych, której celem jest ułatwienie studjowania form i nauka kompozycji i różnych technik artystycznych — powinny w stolicy kraju powstać szkoły przemysłu artystycznego i sztuki stosowanej, lecz to sprawa osobna, do której życie nas zwracać będzie jeszcze niejednokrotnie.

W dzisiejszym numerze podajemy czytelnikom naszym cały szereg reprodukcji z prac uczniów szkoły.

J. R.



Grupa profesorów Szkoły Sztuk Pięknych.



Grupa profesorów i uczniów Szkoły Sztuk Pięknych.



LEGJONIŚCI. (Nagroda Min. Szt. i Kult.).

TENCER.

STARUSZKA.—M. NICZÓWNA.
(nagr. Min. Szt. i Kult.).STUDJUM. — GOLUS.
(nagr. m. Warszawy).AKT KOBIETY—H. STAŻEWSKI.
(nagr. im. Jana Matejki).



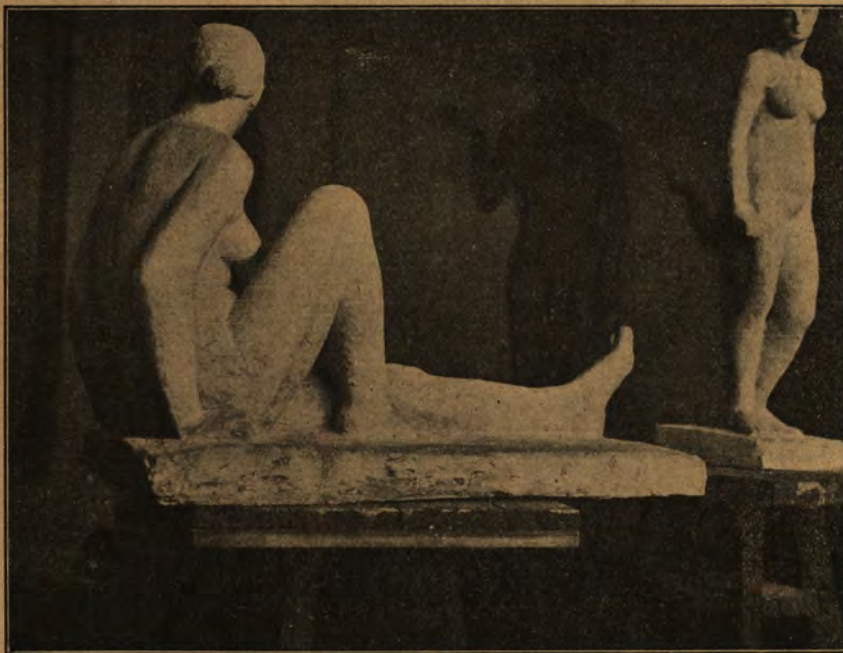
RZEŹNIK. — TENCER.
(nagr. Min. Szt. i Kult.).



BOLESŁAW ŚMIAŁY. — A. ŻORAKOWSKI.
(nagr. Min. Szt. i Kult.).



AKT. — T. ŻARNOWERÓWNA.
(nagr. Min. Szt. i Kult.).



STUDJUM. — JADWIGA BARTHEL de WEYDENTHAL.
(nagroda m. Warszawy).

OŚWIATA W ŁODZI.

Gdyby robotniczy Magistrat Łodzi, tej stolicy proletariatu polskiego, niczego nie dokonał, prócz olbrzymiej pracy w dziedzinie szkolnictwa i oświaty—pamięć o nim zachowana być winna na długie lata w sercach robotników polskich. Dzięki nieustrudzonej pracy twórczej, energii i świętemu zapalowi ławnika szkolnictwa, ktow. d-ra Stefana Kopicńskiego i jego najbliższego otoczenia, Łódź robotnicza stanęła na czele miast polskich na drodze do oświaty. Kaganiec powszechnej oświaty, wysoko podniesiony przez wybrańców robotniczych i mocno trzymany w dłoniach twórców nowego życia społecznego — służy drogowskazem dla wszystkich, komu podniesienie poziomu rozwoju duchowego w Polsce leży na sercu.

Zaprowadzono powszechny obowiązek nauczania dzieci. W ciągu kilku miesięcy powiększono liczbę oddziałów z 651 do 1004. Zamiast 32,000 dzieci, pobiera naukę szkolną z górą 50,000 dzieci obojga płci.

Przystąpiono do budowy gmachów szkolnych. Po ukończeniu pierwszego roku szkolnego, 26

gmach szkolny przy ul. Zagajnikowej, budowany wedle najnowszych wymagań techniki i higieny.

Dla tych dzieci, co nie są w stanie spędzać lata na wsi, urządzono półkolonje letnie w parku Poniatowskiego, wzorowo prowadzone i świetnie prosperujące.

W dziedzinie oświaty pozaszkolnej i dokształcania dorosłych dokonano bardzo wiele. Na szczególną uwagę zasługuje „Miejski Uniwersytet Powszechny“, zakrojony na dość szeroką skalę, ale mimo to zbyt szczupły, by mógł zadośćuczynić wymaganiom setek zgłaszających się po naukę.

W krótkiej notatce trudno wyliczyć wszystko, co zostało już zrobione i co jest projektowane na najbliższą przyszłość. Ale i to, cośmy wyliczyli, wystarczy, by dowieść, że gdy robotnicy obejmują władzę w gminach miejskich, wyzyskać ją potrafią jaknajlepiej, nie tylko dla podniesienia dobrobytu powierzonych ich pieczy miast, ale i dla zaspokojenia potrzeb duchowych mieszkańców miast, w większości robotników.

Załączone ryciny świadczą, o wszechstronnej działalności wydziału szkolnictwa w Łodzi. Są to



Wycieczka na Pomorze Uniwersytetu Powszechnego w Łodzi (od dnia 20 lipca do 27 lipca b. r.)



Wycieczka uczniów i uczenic szkół powszechnych w Łodzi do Kazimierza Puław i Warszawy (od 5 lipca do 14 lipca b. r.)

czerwca, uczczono „święto powszechnego nauczania“ przez założenie kamienia węgielnego pod olbrzymi

odbitki ze zdjęć, dokonanych podczas wycieczek krajoznawczych Uniw. Powszechnego na Pomorze i dzieci szkolnych do Warszawy i okolic. **Is.**

MYŚLI NA CZASIE.

1.

Wówczas kiedy Polska przechodzi najgroźniejsze chwile, w których waży się losy jej bytu, pan Marszałek Trąpczyński na porządek obrad sejmowych wprowadza sprawę dzwonnicy czy dachu kościołka w Działdowie i sprawę podatku od psów.

Czyż ten psi haracz nie jest symbolem naszej reakcji?

Obyż został jej herbowym klejnotem.

2.

„Rzeczpospolita“, założona jest w znacznej mierze za pieniądze, które wyłudził od emigrantów polskich w Ameryce osławiony bankier Smulski, ten sam, który ze swoją kompanją polityczną bojkotuje pożyczkę polską.

Co za dziwny zbieg okoliczności. Bankier Smulski bojkotuje pożyczkę, „Rzeczpospolita“ sabotuje Narodne Dowództwo.

Co za dziwny, a jak znamieny zbieg okoliczności!

3.

Pan Grabski zgodził się bardzo ustępliwie i spiesznie na warunki podyktowane w Spa, a nas krzywdzące.

Chcąc zamaskować tę jego ustępliwą, prasa reakcyjna znaną metodą odwrócenia uwagi napada właśnie na Naczelne Dowództwo, P. P. S. i wogóle wszystkich, którzy nie są endecji posłuszni.

Z tego powodu zupełnie słuszną czyni uwagę „Dziennik Ludowy“ (Nr. 168 z dn. 16 lipca): wyobrażamy sobie, coby się dziś w Polsce działo, gdyby tych „zwycięstw“ dyplomatycznych dokonał w Spa rząd Witosy i Daszyńskiego, jakby się łamały z oburzenia pióra dziennikarskie, jakby się im wymyślało od sprzedawania Polski angielskiej finansjerze. Ale uczynił to ich człowiek, p. Wł. Grabski, dlatego łamy pism „patryjotycznych“ nie płoną żarem oburzenia.

Trzeba sobie te słowa często powtarzać, żeby je zawsze pamiętać.

Narodowa Demokracja bowiem ma — mówiąc słowy Leonarda da Vinci — dwie głowy, jedną w zwykłym miejscu, drugą w ogonie, jakgdyby nie starczyło, by z jednego miejsca wyrzucała truciznę.

4.

Równocześnie z odezwą do społeczeństwa o zapisywanie się ochotników do armji, należało ogłosić ustawę, zabezpieczającą byt rodzinom ochotników.

Świadczyłoby to o dojrzałości i sprawności rządu i Sejmu.

5.

Renty inwalidów pracy, pobierane z zakładu we Lwowie wynoszą nieraz kilka marek miesięcznie!

Jest to wieść tak hjobowa i tak typowa dla rządu kliki endeckiej, która chce robić porządek po przez morza krwi robotniczej, że niechybnie zajmie się tą sprawą klub posłów socjalistycznych.

6.

Proletariat angielski dość dziwne zachowuje stanowisko.

Wstrzymuje amunicję dla Polski, broniącej się przed najazdem bolszewizmu, ale nie sabotuje swego rządu, gdy ten walczy z Irlandczykami.

Gdzież jest wolność uciśnionych narodów?

Czy w oczach proletariatu angielskiego Anglia, ciemiężąca wolność narodową Irlandji, stoi moralnie, wyżej od Polski, broniącej swej niepodległości?

7.

Jeden z najdzielniejszych, najzacieplejszych i najzasłużeńszych działaczy Śląska Cieszyńskiego tow. Franciszek Przeczek z Szermbarku został schwyty bezprawnie przez żandarmów czeskich i postrzelony kulą dum-dum. Wyratowany z rąk bestjałskich oprawców przez ludność został umieszczony w szpitalu załogi w Cieszynie. „Do tego szpitala, będącego pod opieką polskich lekarzy, wtargnęli żandarmi czescy i żądali wydania im rannego! Gdy ich odprawiono z kwitkiem, wrócili w towarzystwie francuskiego kapitana, który bardzo stanowczo domagał się wydania rannego Polaka czeskim żandarmom...“ Lekarz wojskowy, dr. Kulisz, mężnie oparł się temu dziwnemu żądaniu dziwnego zaiste oficera, powołując się na to, że rana Przeczka jest śmiertelną, istotnie rannę niedługo zmarł.

Francuski oficer aljanckiej komisji plebiscytowej, domagający się wydania zbirom czeskim rannego przez nich Polaka.

Ładny obrazek plebiscytowy, nieprawdaż?

8.

Poniżej przytoczone słowa inż. K. Gawrona (z „Naprzodu“ 4 lipca) należałoby rozplakatować po całej Polsce:

Na ostatnim polskim wiecu w Cieszynie, odbytym dnia 22 lutego 1920 przy udziale kilkudziesięciu tysięcy ludu wiejskiego i robotników polskich ze wszystkich prawie stron Śląska, kiedy to wobec stanowczości i nieugiętej postawy zebranych rzesz pracującego ludu polskiego, ustąpić musiały kordony wojsk koalicyjnych, wzbraniające, pod wpływem podszeptów czaskich, wejścia do polskiego rynku w Cieszynie — zebrane rzesze ludu śląskiego, stały wówczas całej Polsce bratnie pozdrowienie: Naczelnikowi Państwa, polskim wojskom i Rodakom z prośbą, aby w walce o Śląsk Cieszyński śpieszyli Śląskowi z pomocą.

Pozdrowienia te słał lud śląski z głębi nieskalanego polskiego serca — a w okrzyku drgał ton tak strasznie szczery i ciepły, że na wspomnienie tych chwil, dziś jeszcze doznaję wstrząsających dreszczy, które odczuwałem wtedy, gdy byłem wśród tych, tak nam drogich Polaków na kresach zachodnich, — kochających nad wszystko to, co polskie — i gotowych nieść każdej chwili Polsce swe mienie i życie w ofierze. Przypominając ogółowi polskiemu ten apel ludności ze Śląska plebiscytowego, zwracam się do polskiego sumienia wszystkich Rodaków, zamieszkujących Polskę, aby sprawie śląskiej z obowiązku narodowego pospieszyli jaknajrychlej z najwybitniejszą pomocą i nie cofali się przed bratnią dłonią śląskiego ludu, wyciągniętą o pomoc.

Każdy odmówić może sobie jakiejś drobnostki. — Panie choćby przez jeden sezon kapeluszy, które zasilały kieszenie tylko naszych wrogów: Niemców i Czechów — Panowie — kołnierzy krawatów, lub innych przyjemności — a pieniądze, przeznaczone na ten cel, niech złożą na ołtarzu obrony Śląska przed czeskim zamachem.

Wówczas z najgłębszym szacunkiem każdy schyli głowę przed taką Polką, jak i Polakiem — bo ci spełnili narodowy obowiązek.

Kwoty tak osiągnięte, dadzą już znaczne sumy, które mogą być przeznaczone na lepszą aprowizację Śląska i sprawniejszą agitację.

Niech w naglącej składce nie zabraknie ani jednego datku polskiego magnata, lub przemysłowca, jak i polskiego urzędnika, mieszczanina, rolnika i robotnika!...

9.

Zaczął znów grasować po Warszawie bravo pióra Adolf Neuwerth-Nowaczyński, wymajęty przez p. Strońskiego.

Na tego rodzaju indywidua człowiek przyzwoity nie zwraca żadnej uwagi; a raczej zwraca, niekiedy, zwłaszcza, gdy ma łaskę w rękę.

Zastanawia tylko jedno: czem jest społeczeństwo, czem jest stolica, która toleruje nikczemnika, co w chwili nieszczęścia narodowego z tego nieszczęścia drwi, a parodjuje dziś chwile ogólnego entuzjazmu.

Władysław Wolert.

Z ŻYCIA POLSKIEGO LUDU SOCJALISTYCZNEGO W STANACH ZJEDNO- CZONYCH AMERYKI PÓŁNOCNEJ.

(Korespondencja własna).

Niezależnie od tego, że dziś w Ameryce setki tysięcy Polaków żyje myślą powrotu do kraju ojczystego, to również ruch socjalistyczny wśród Kolonji wzmaga się bardzo znacznie.

Polacy wychodzący, którzy w przeważającej liczbie (do 80%), składali się z ludności wsi polskiej, wygnani nędzą i brakiem zajęcia w ojczyźnie — daleko, za Ocean, pozostawali w masie swej pod wyłączną kontrolą kleru i rodzinnego łapichłóstwa.

Ruch socjalistyczny, który swemi początkami sięga przeszło ćwierć wiecza (z górą 25 lat), był przez wiele lat oazą na pustkowiu polsko-amerykańskim. Ruch rewolucyjny 1905—06 roku w Królestwie Polskim przeciw caratowi — ożywił tutejszy ruch. Wielu z dzielnych towarzyszy zasililo nasze kadry nowymi siłami, nową energją i zapalem.

Upadek rewolucji odbił się na emigracji. Organizacja Socjalistyczna (polska) przeszła rozłąmy i tworzenie się nowych frakcji.

Dopiero wojna połączyła prawdziwych niepodległościowców w obozie Związku Socjalistów Polskich, który wydał najwięcej ludzi do roboty niepodległościowej w Komitecie Obrony Narodowej. Elementy nienarodowe wśród Socjalizmu polskiego odeszły — stworzyły obóz, odpowiadający dawnej Es-Decji, a teraz komunistom.

Kiedy rola K. O. N. skończyła się (z utworzeniem Państwa polskiego) — Socjaliści wyszli z tego zlepku organizacji, zacieśniając silne, bratnie węzły organizacyjne z P. P. S-em. Umowa między Z. S. P. a P. P. S. z jednej strony, a objazdy towarzyski Z. Praussowej i tow. Malinowskiego — z drugiej strony —

przyczyniły się do ożywionej działalności w naszym ruchu.

Dziś nasza organizacja: Związek Socjalistów Polskich ma obok tysięcy członków, opłacających stale podatki partyjne, setki tysięcy sympatyków. Wiece nasze cieszą się niebywałą popularnością. Nierzadko się zdarzało, iż tow. poseł Malinowski przemawiał do 2 tysięcy zebranych, a najmniej do setek osób.

Obecnie w masie całej polscy wychodzący w Ameryce budzą się, widzą, że byli oszukiwani bardzo długo przez kler i szantażystów. Dziś przybywają na zebrania Socjalistyczne, słuchają przemówień i dają dolary na walkę, prowadzoną przez towarzyszy w Polsce, skupionych w szeregach P. P. S.

Taki 5-tygodniowy objazd tow. posła Malinowskiego przyniósł 3 miliony (trzy) marek polskich dla P. P. S.

Dorobek nasz organizacyjny znaczny. Oprócz wyrobionych towarzyszy dla kraju — dajemy i pieniądze.

Tu na gruncie amerykańskim mamy 3 pisma: dwa dzienne i tygodnik. Dziennik Ludowy w Chicago i Detr. Dziennik Ludowy w Detroit, a tygodnik „Robotnik Polski“, wychodzący od 26 lat. Nasz majątek organizacyjny wynosi dziesiątki tysięcy dolarów, jest to dorobek wspólny, tysięcy dzielnych i energicznych towarzyszy, pracujących od lat całych.

Załączone fotografie przemawiają za siebie. Są tam nasze grupy towarzyszy — pracowników w Dzienniku Ludowym, towarzysze z poszczególnych oddziałów, widok naszych biur i t. d.

Pracujcie towarzysze w Polsce dla Wielkiej Sprawy, pracujcie nad urzeczywistnieniem naszego celu: Polskiej Republiki Socjalistycznej! A my Wam z za Oceanu ślać będziemy i ludzi i pieniądze.

Zygmunt P.



Widok sklepu „Dziennika Ludowego” w Chicago; za kontuarem towarzyski: M. Zmijewska, była kierowniczką sklepu i Z. Przedziecka, obecna kierowniczką sklepu. Na szafie z książkami wisi numer naszego tygodnika, „Światła”.

Grupa towarzyszy i towarzyszek z oddziałów Chicagowskich Związku Socjalistów



Polskich przed Dziennikiem Ludowym. Gmach jest własnością organizacji naszej.



Członkowie Komitetu Wykonawczego Zw. Socj. Polsk. w St. Zjed. Am. Póln. z sekretarz. gener. organ. Siedzą od lewej ku prawej stronie: tt. K. Kruszewski, M. Stefański, Zyg. Plotrowski, sekret. gener. Z. S. P., A. Wesolowski; stoją od lewej ku pr. str.: K. Gineit, M. Machull, P. Lasota.



Profesorowie i uczniowie szkoły nauk społeczno-politycznych, oddz. Związku Socj. Polskich „Przedświt“ w Chicago. Kierownicy szkoły: tow. Z. Plotrowski, (ostatni po prawej stronie, stoi) wykladał historję Polsk i historję St. Zjedn.; tow. M. Sokołowski, red. „Dziennika Ludowego“ (obok tow. Piotrowskiego, na lewo, stoi).



Towarzysze i towarzyszk, pracownicy „Dziennika Ludowego“ w Chicago. W środku na fotografii (szósty od lewej strony w II rzędzie) tow. poseł Malinowski „Wojtek“.

INDJE POD NAJAZDEM ANGIELSKIM.

W południowej części Azji, na wschodzie Dalekim, znajduje się olbrzymi półwysep Indyjski, zamieszkały przez wiele milionów ludzi. Liczbą mieszkańców Indje przewyższają wszystkie kraje europejskie, razem wzięte. Przestrzeń Indji wynosi przeszło 4 miliony kilometrów kwadratowych, zaludnienie zaś sięga 320-tu milionów mieszkańców. Olbrzymi ten kraj, osłonięty z północnej strony łańcuchem najwyższych gór Himalajskich, z trzech pozostałych styka się z morzem i oceanem.

Skutkiem tego położenia ogromnie różnią się klimatyczne warunki w rozmaitych częściach Indji, a przez to i jej świat roślinny niezwykle bogatym jest w najprzeróżniejsze odmiany: są tam lasy iglaste i liściaste, są tam łąny zbożowe — pszenicą lub jęczmieniem zasiane, są i drzewa owocowe, są palmy wiecznie zielone, są plantacje trzciny cukrowych, bawełny, indygo, ryżu, herbaty, maku... A oprócz skarbów roślinnych, prócz lasów, roślin uprawnych, oprócz pasących się na łąkach trzód, posiadają również Indje niezliczone bogactwa płodów kopalnych: olbrzymie zapasy węgla kamiennego, miedzi, żelaza, złotonośne pola i złoża djamentów. Olbrzymie zaś rzeki indyjskie, których wylewy żyźnią swoim mulem pola i łąki, są wspaniałym środkiem dogodnej i taniej komunikacji.

Nic też dziwnego, że Indje, zasobne we wszystkie te bogactwa, mając dogodnie do żeglugi drogi rzeczne i z trzech stron wyjście na morza, już z dawien dawna stały na dosyć wysokim poziomie cywilizacji i rozwoju gospodarczego.

Lecz dzisiaj kraj ten, za swą piękność i bogactwa przewany „perłą Wschodu“, gdy bliżej mu się przyjrzeć, gdy się zapozna z jego ustrojem i stosunkami wewnętrznymi, zdaje się być krajem niezwykle ubogim. Rzecby można, że Indje są krajem równocześnie najbogatszym i najbiedniejszym. Bowiem ze skarbów i bogactw Indji korzystają nie jej mieszkańcy odwieczni — Hindusi, lecz przybysze — najeźdźcy Anglicy. Sto pięćdziesiąt lat już trwa najazd angielski w Indjach, sto pięćdziesiąt lat już minęło odkąd ciąży nad tym krajem najstraszliwszy wyzysk i niewola.

I kraj ten precudowny, dość na to bogaty, by dostatnio wyżywić, ubrać i zaspokoić wszystkie potrzeby swojej ludności, żyje dziś w ostatniej nędzy, a nieraz nawet doznaje straszliwej klęski głodowej. Głód w Indji częstym jest gościem. Niepełna pięćdziesiąt lat temu — w 1876 — 8 latach wydarzył się w Indji głód, podczas którego na przestrzeni, zamieszkałej przez 36 milionów mieszkańców, wymarło przeszło 4 miliony ludzi.

A przecież Europa, której bogactwa nie stanowią nieznaczącej nawet części bogactw indyjskich, oddawna już zupełnie nie zna podobnych klęsk.



Wzajemny stosunek liczby Hindusów do najeźdźców Anglików.

Przyczyna tych głodów jest następująca: zwykły urodzaj w Indjach daje więcej zboża, niż potrzeba dla jej mieszkańców. Nadwyżka zaś ta, którą właściwie należałoby zostawiać na miejscu na wypadek nieurodzajów, wywożoną jest zawsze do Anglii. Nic tedy dziwnego, że w latach głodowych zboża braknie, tembardziej, że nawet wówczas, gdy niektóre części Indji spotkał nieurodzaj, z innych zboże w dalszym ciągu jest wywożone. A skutek jest ten, że w Anglii indyjskiego zboża jest podostatkiem i kosztuje ono tam bardzo tanio, zaś rolnik indyjski odżywia się bardzo źle, albo nawet umiera z głodu.

W zamian za wywożone zboże, Anglicy przywożą wyroby przemysłowe, lecz są to wyroby bardzo liche i bardzo drogie.

Wyzysk ten ze strony najeźdźców anglików utrzymuje się w Indjach skutkiem bardzo małej, jak dotąd, świadomości politycznej Hindusów oraz ich niezorganizowania. I pod tym względem Anglicy doskonale wiedzą, co należy czynić, by jaknajdłużej można było się tuczyć krwawicą ciemniejszego ludu indyjskiego. Wiedzą oni doskonale, że przemysł fabryczny, skupiający w miastach większe masy robotnicze, staje się z konieczności ośrodkiem budzącego się w ludowych warstwach wyzwolenie ruchu. To też od czasu najazdu angielskiego nie tylko, że nie rozwinęła się żadna gałąź przemysłu fabrycznego, lecz wręcz przeciwnie: Anglicy zniszczyli doszczętnie cały dawny fabryczny przemysł indyjski, który przed angielskim najazdem był w stanie rozkwitu. Dziś z całego dawniejszego przemysłu Indji istnieje jedynie produkcja surowców. Lecz te są natychmiast wywożone do Anglii, skąd część ich wraca do Indji w stanie przerobionym, jako wyroby fabryczne, na sprzedaż — rzecz prosta — po bardzo wysokich cenach. Że zaś Anglicy w dobie obecnej niepodzielnie panują na morzach, więc łatwo im dopilnować, by nie mieli żadnej konkurencji, skutkiem dowozu tańszych fabrykatów z innego państwa.

Już sto pięćdziesiąt lat minęło, odkąd Anglija zakuła lud indyjski w kajdany wyzysku i niewoli, by krwią jego się tuczyć, a z niedoli swoje tworzyć bogactwa. Wszystko zabierają u Hindusów najeźdźcy, nic im wzamian nie dając. Cóż tedy dziwnego, że w Indjach coraz to straszniejsza nędra panuje i że coraz większym jest dobrobyt anglików.

Ale żaden ucisk, żaden wyzysk, żadne pastwienie się nad ludem indyjskim ze strony najazdu kapitalistów angielskich nie zdławiło w chłopie i robotniku indyjskim umiłowania wolności. Sześćdziesiąt trzy lata minęło od pierwszego wielkiego powstania Hindusów przeciwko Anglikom, i choć krwawo zdławił ciemniejszy ten bunt przeciwko sobie, lecz odtąd nigdy już nie gaśnie w ludzie indyjskim duch walki z najazdem.

Cóż z tego, że za pieniądze z pracy chłopów i robotników indyjskich ukradzione, Anglicy utrzymują rzesze swoich urzędników i wojsko, by tem łatwiej było gnębić lud indyjski? Cóż z tego, że już nie jedno jego powstanie zdołałi krwawo stłumić? Cóż z tego, że pod osłoną „prawa i konstytucji“ umieją coraz to więcej z nędzy „swych poddanych“ „uczciwie“ się bogacić?

Już niedaleka ta chwila, gdy się przebierze miara cierpliwości ludu indyjskiego..

Dzisiaj właśnie świat cały staje w płomieniach walki o wyzwolenie człowieka pracującego z przemocy kapitalistów... Coraz to głośniej grzmi pomruk przyszłej wielkiej burzy... Coraz to bliższą jest godzina ostatecznej ludów ciemnionych z ciemnizami rozprawy... A gdy wybije — zerwie się wówczas

do walki o swą Niepodległość i lud indyjski, zerwie się do boju ze swym wrogiem odwiecznym i cios śmiertelny mu zada i w niwecz obróci przemoc kapitalistów angielskich.

T. S.

WIEŚ CHIŃSKA.

O ile świnie chińskie są mniej ponętne, o tyle konie są miłe. Typ konia chińskiego pod wieloma względami różni się od koni, spotykanych na naszych ziemiach i wogóle w Europie. Jest to koń nie wysoki, na cienkich nóżkach, pozatem dobrze zbudowany, mocny, o krótkiej szyi i małej głowie. Grzywa krótka, stojąca, jakby przyszyta umyślnie; grzywki na czole brak. Najczęściej maści jasnej, często białej, jak mleko i oczach białych. Konie te żyją stadami w stepach Mongolji dziko; w tabunach wielkich, będących własnością mongołów. Koń wyżej opisany jest przedstawicielem bardzo dawno wymarłej w Europie, rasy wschodniej koni dzikich, których potomkami są właśnie konie, zamieszkujące stepy mongolskie. Jest to bowiem koń stepowy i u nas zamieszkiwał wtedy, kiedy na niezmiernych równinach Europy rozciągały się stepy. Maść jego, dostosowana jest do tła przyrody, na którym przebywa. A więc na stepie barwa jej jest jasna, gdyż odpowiada barwie piasku, w okolicy górzystej zaś ciemna, jest tam bowiem więcej zieleni, złomów skalnych, ciemnych rozpadlin i t. p. Stosownie też do pory roku, sierść w lecie ma krótką, w zimie zaś długą i gęstą.

Dodać należy, że konie chińskie są bardzo wytrwałe w pracy, silne i mądre. Oto co pisze o zmyślności tych koni p. M. Jankowski*). „Zmyślność tych stworzeń podziwiałem niejednokrotnie, szczególnie przy zjeżdżaniu ze stromych gór. Najważniejsze zadanie w takich wypadkach przypada na konia, idącego w hołoblach, który widać rozumie całą, ciężką, na nim odpowiedzialność, powstrzymuje bowiem na sobie cały ciężar wozu, przysiadając na zadzie i czyniąc kroki ostrożnie obrachowane. Co chwila rozumnym wzrokiem, w którym widać niepokój, mierzy przestrzeń, pozostającą mu jeszcze do przebycia, i nie pozwoli sobie przed czasem na żaden szybszy krok; całe zaś stadko schodzi również wolno i ostrożnie, rozumiejąc jakby zadanie swojego przewodnika i pragnąc mu w tem dopomóc”.

Powyższe obserwacje w zupełności potwierdzić mogę, sam niejednokrotnie podziwiałem zmyślność koni chińskich w różnego rodzaju trudnych przejazdach i przejściach.

Zalety konia chińskiego występują tem jaskrawiej, że zaprząg chiński, zarówno jak wóz oraz sposób kierowania całym zaprzęgiem jest mniej doskonały od naszego. Chińczycy, naogół, nie używają lejca; woźnica — ma-cze, siedzi sobie na wozie, lub biegnie obok niego, w jednej ręce trzyma bat,

którego długie biczysko skręcone jest z trzciny i osadzone w bambus; batem tym pogania i kieruje zaprzęgiem, wydając przytem raz po raz dzikie okrzyki: nooh! nooh! nooh! Tonacja tych wykrzykników zmienia się zależnie od potrzeby. Ponieważ konie nie mają oczu osłoniętych i zabezpieczonych w ten sposób od uderzeń batem, przeto w bardzo prędkim czasie stają się ślepe. Kalectwem tem dotknięte są niemal wszystkie konie, będące w zaprzęgu. Istnieje wszakże jeszcze jedna przyczyna tego zjawiska, oto Chińczycy umyślnie oslepiają swe konie, ażeby zabezpieczyć je od rabunku w razie napadu chunchuzów, którym potrzebne są konie pod wierzch, a więc nietknięte kalectwem ślepoty.

Wozy chińskie są jednego typu: mocne, dość duże, na dwóch potężnych kołach, przystosowane do panujących zwyczajów i potrzeb miejscowych. Są to t. zw. arby. Budowa takiego wozu, czyli arby, jest ogromnie ciekawa i zasługuje na bliższe zapoznanie się z nią. Jest to platforma wydłużona, dość szeroka, o pomoście równym, spoczywającym na ramie, zbudowanej z grubych balików dębowych.

Podłużne boki tej ramy stanowią zarazem krótkie hołoble, w które wprzęgnięty jest jeden z koni. Cała tak zbudowana platforma spoczywa na grubej osi, która razem z kołami tworzy całość, tak, że w czasie ruchu oś obraca się razem z kołami. Platforma arby utrzymuje się na osi jedynie dzięki własnemu ciężarowi i może być zdjęta w razie potrzeby. Taka konstrukcja arby jest bardzo ciekawym przeżytkiem odległej starożytności. W parze z tym idzie budowa kół, które zamiast licznych szprych mają tylko trzy. Jedna z nich, najgrubsza, przechodzi przez środek koła, w niej to umocowana jest oś arby, dwie zaś pozostałe ustawione są poprzecznie, w stosunku do pierwszej, w niewielkiej od siebie odległości. Dodać należy, że koło nie posiada jednolitej obręczy, lecz obłożone jest grubemi, szczelnie do powierzchni koła przystającymi listwami żelaznymi, z głębokim rowkiem pośrodku. Listwy te przymocowane są do koła za pomocą gwoździ o dużych ostrych łbach. Nadto od strony zewnętrznej całe koło obite jest podwójnym szeregiem żelaznych gwoździ o potężnych, stoikowatych łebkach. Arba jest wozem ładownym, gdyż zabrać może około 3000 funtów bagażu. Ponieważ ciężar całego ładunku spoczywa na dwóch kołach, te zaś są wąskie, dzięki czemu głęboko wrzynają się w grunt, wyobrazić sobie mogą czytelnicy, jak wyglądają drogi chińskie, gruntowe, gdyż bitych chińczyków nie znają! Przewożenie towarów w takich warunkach wogóle jest rzeczą niezmiernie trudną, a w pewnych momentach (nap. w porze deszczowej) wręcz niemożliwą. W związku z tem liczba koni i mułów, użytych do zaprzęgu jest znaczna i waha się w granicach od 5—7 a nawet 12 jednostek pociągowych.

Kto nie widział takiego zaprzęgu, nie może so-

*) Mandżurja. Wrażenia i wspomnienia. Wydaw. Im. Staszycza Warszawa 1909.

Autor opisuje swoje wrażenia i wspomnienia z czasów wojny rosyjsko-japońskiej.

bie wyobrazić, jak oryginalnie wygląda taki wóz z leniwo biegnącym stadkiem koni i mułów, oraz pokrząjącym i wymachującym długim batem, woźnicą — Chińczykiem. Jeszcze bardziej oryginalnie wygląda karawana, złożona z kilkunastu lub kilkudziesięciu arb. Zdala już słycać charakterystyczne jej odgłosy, skrzywienie wozów, nawoływania ludzi, ryk mułów i niemilknące pobrzękiwania różnego rodzaju brząkałek, grzechotek i drobnych dzwoneczków, któremi przystrojona jest uprzęż koni. Śród tego zgiełku i hałasu wyróżniamy dźwięki głuche, miękkie, monotonne specjalnych dzwoneczków z blachy brązowej lub miedzianej, w które zaopatrzona jest każda arba. Zwieszają się one pod spodem platformy, dzięki czemu są niedostrzegalne. Tępych dzwoneczków — dziwnie głębokie, spokojne, rozlewne, zda się skądś z pod ziemi wychodzące... W ten oto sposób stara się Chińczyk uprzyjemnić sobie długą podróż i zaspokoić muzykalne swe potrzeby.

Obok koni i mułów używane są do zaprzęgu woły i krowy. Mleka Chińczycy nie używają, tak samo masła, którym się brzydzą. To też o hodowli bydła dla nabiału nie może być mowy, jak również

kuchy, któremi karmią krowy i konie. W pobliżu miast kwitnie warzywnictwo. Tutaj pierwsze miejsce zajmuje kapusta chińska — pe-tsai, o dużych miękkich liściach, które rozwijają się tak szybko, że sieje się dwa razy do roku. Kapusta ta nie zwija się w główki.

Z innych warzyw wymienić należy rzodkiew, ogórki długie, ziemniaki, dynie słodkie, mandżurskie tykwy. Chińczycy sieją również tytuń, którego uprawa jest bardzo rozpowszechniona. Plantują również różne gatunki roślin technicznych i lekarskich, których nazw nie będę wymieniał dla braku miejsca.

Uprawa roli pod wieloma względami różni się od naszej. Z jednej strony widzimy środki i sposoby uprawy jeszcze bardzo prymitywne — z drugiej, pewne dowody samodzielnego rozwoju i udoskonalenia tej gałęzi wiedzy i umiejętności człowieka. Pola uprawiane są nie w zagony, lecz w grzędy dość wysokie. Zboża sieje się nie ręką (prócz nielicznych wyjątków), lecz zapomocą wielce oryginalnego siewniczka. Do pielienia służą motyki, osadzone na długich trzonkach i zakończone szerokim ostrzem. Dodać należy, że Chińczycy w Mandżurji ziemi nie na-



Dwukółowe zaprzęgi
mandżurskie.

dla mięsa, którego nie jedzą. Z ptactwa hodują tylko kury. Oto cały inwentarz żywy rolnika chińskiego w Mandżurji.

Mandżurja jest krajem rolniczym. Wprawdzie w północnej jej części nie uprawiają ryżu, za to szeroko rozpowszechniona jest uprawa pszenicy, a przede wszystkim prosa, ze względu na obszerne zastosowanie jego w gospodarstwie. Są rozmaite gatunki prosa, różniące się wysokością ździebeł, barwą i wielkością ziarna. Jeden gatunek, znany pod nazwą miejscową czu-mi-za, jest podstawowym pożywieniem najuboższej warstwy Chińczyków. Na uwagę zasługuje pewien gatunek prosa, zwany gao-lan. Wyglądem swym proso to przypomina wysoką bardzo trzcinę, którą zarówno pod względem wysokości jak grubości łodygi, przerasta. Z prosa tego otrzymują kaszę, mąkę, pędzą wódkę — chanżę. Gao-lan służy również, jako pasza dla bydła, słoma zaś idzie na pokrycie dachów, wyrób mat i kapeluszy, a nawet na ogrodzenie zabudowań i na opał. Drugie miejsce z rzędu zajmuje fasola. Tak zwany bób, znany w kilku odmianach, dostarcza taniego bardzo oleju, powszechnie używanego przez ludność do potraw, różnych smakołyków, oraz do celów technicznych. Z wycieków bobowych wyrabiają

woż, za wyjątkiem warzywników i ogrodników podmiejskich.

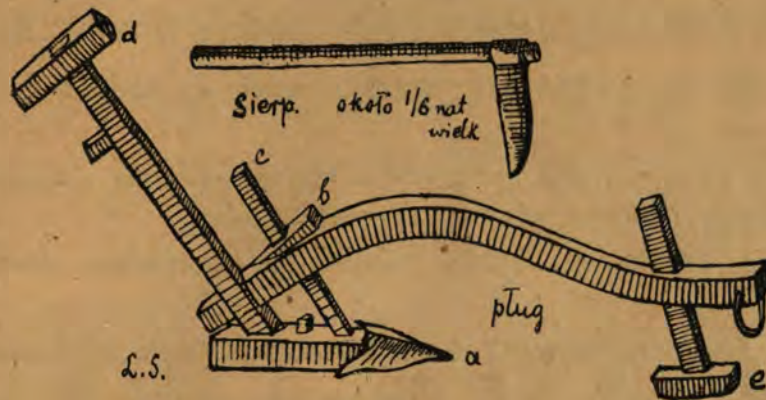
Dzięki temu, że w Chinach robocizna była zawsze niesłychanie tania, dzięki wrodzonej pracowitości Chińczyka, wreszcie dzięki pewnym swoistym stosunkom społecznym i tradycji rodzinnej — zapewne w żadnym kraju produkcja rolna nie jest otoczona taką zabiegliwością i starannością przez człowieka, jak tam, że wspomnę o podlewaniu roślin na polu wodą, przyniesioną w kubelkach z pobliskiego kanału lub studni; że wspomnę o niezmiernie starannem okopywaniu każdej roślinki, sadzeniu pszenicy i okopywaniu takowej i t. p. Tej zabiegliwości oraz dobremu gatunkowi ziemi przypisać należy owe wspaniałe plony w lata urodzajne. Okres zasiewów wiosennych w północnej Mandżurji przypada na koniec kwietnia i maj, zbiory zaś na październik a nawet na początek listopada.

Z nielicznych narzędzi, któremi posiłkuje się przy uprawie roli gospodarz chiński, wymienić należy przede wszystkim drewniany pług. Pług chiński jest dziś jeszcze żywym zabytkiem głębokiej starożytności. Budowa jego przypomina pierwotne pługi (z epoki brązu, z przed tysiąca lat przed Nar. Chr. oraz epok późniejszych), któremi posługiwały się różne

ludy, zamieszkujące podówczas Europę. Na rysunku, przedstawiającym plug chiński, zaznaczyłem niektóre ważniejsze szczegóły. A—ruchomy drewniany lemiesz z żelaznym ostrzem na końcu, połączony z rączką d, zapomocą której kieruje się plugiem. Palik c przechodzący przez otwór w pałaku, również połączony jest z lemieszem; przy pomocy tego palika oraz klina b podnosi się lub opuszcza lemiesz, zależnie od potrzeby, e — nóżka dodatkowa, zabezpieczająca pałak od zbyt dużego pochylania w czasie orki.

Plug chiński nie odrzuca skiby na bok, lecz ryje grunt, równomiernie rozkładając ziemię na obie

W szkicu tym o wsi chińskiej nawet w części nie wyczerpałem tematu, na bardziej szczegółowe zapoznanie się z życiem ludności wiejskiej nie starczyło już miejsca. Dlatego też pominąć musiałem szereg działów, jak zwyczaje ludowe, strój, pożywienie, przemysł ludowy i t. p., które być może jeszcze na łamach „Światła” omówię. Tymczasem musimy poprzestać na tym pobieżnym szkicu. Na zakończenie jeszcze słów kilka o charakterze ludności wiejskiej. Typ chińczyka, rolnika, jest niezmiernie sympatyczny; dobroduszeństwo i poczciwość maluje się na jego twarzy. Łatwy jest w obcowaniu, usłużny



strony, dzięki czemu powstają grzędy, oddzielone dość głębokimi bruzdami.

Do orki chińczycy używają krów, wołów, koni a nawet niekiedy posiłkują się ludźmi.

Sierp chiński przypomina małą kosę, osadzony jest na dość długim trzonku, jak to przedstawia załączony rysunek.

Grabie sporządzone są z płaskich pręcików bambusowych w kształcie widel, o końcach, pazurkowato zagiętych.

Siewniczek, o którym wspominałem wyżej, zasługuje na to, ażeby mu chwilę uwagi poświęcić. Składa się z długiego i wąskiego worka oraz pręta bambusowego, wydrążonego. Jeden koniec tego pręta połączony jest z workiem, drugi zaś zakończony specjalną kłapką lub siatką (o dużych oczkach) regulującym siew ziarna. Worek, w którym się mieści ziarno, spoczywa na plecach i na ramieniu chińczyka, zadaniem którego jest stałe utrzymywanie wylotu wydrążonego pręta nad niegłęboką bruzdą, bruzdę tę pozostawia za sobą człowiek idący na przedzie ze specjalnym narzędziem, które słusznie p. M. Jankowski (Mandzurja 1909) nazywa znacznikiem*). Obok chińczyka z siewniczką idzie zwykle podrostek, raz po raz uderzający pałeczką w pręt wydrążony, z którego wysypują się ziarna. Za nimi podąża kilku innych chłopców, którzy zasypują bruzdkę i udeptują ją nogami. W ten sposób odbywa się siew zboża.

Młocka odbywa się na otwartym powietrzu, na specjalnych klepiskach i przy pomocy koni, które wloką za sobą wały kamiennne. Zboże miele się w żarnach domowych kamiennych, bardzo prymitywnych.

* * *

*) Budowa tego znacznika jest bardzo prosta: na 2 płozach umocowane jest rusztowanie, pośrodku którego znajduje się palik z ruchomym radełkiem, pochylonym ku przodowi.

i uczynny. Krótka nawet znajomość wywołuje objawy szczerego rozradowania i gościnności. Zresztą, zależy to od człowieka, całego jego zachowania, stosunku do otoczenia, sposobu życia i t. p. Ja nie mam powodu skarżenia się na chińczyków, po których pozostały mi jaknajlepsze wspomnienia. Jeśli nawet zdarzają się niekiedy objawy wrogości względem obcych przybyszów — nie można się temu dziwić. Cywilizacja nowożytna przyniosła ze sobą na Wschód tyle zła i tyle nieszczęść, że podziwiać należy cierpliwość i łagodność tych ludzi.

Dziś Chiny opromienia jeszcze czar starożytnej kultury, która wycisnęła potężne i trwałe piętno, nie tylko na wyglądzie zewnętrznym urządzeń społecznych i gospodarczych kraju, ale nadała swoisty charakter duszy chińczyka. Czy zdoła on się oprzeć niszczytelniemu wpływom współczesnej cywilizacji zachodniej, czy zgubi się w odmęcie tego życia, które cechuje Zachód — czy też położy podwaliny pod gmach nowej kultury?..

Tu na Zachodzie wiele się zmienić musi, łąpieć podboje cywilizowanych europejczyków ustana, a ludzkość cała zjednoczy się w jednym dążeniu — zgodnego współżycia i twórczej współpracy

Ludwik Sawicki.



Jedynе w Polsce ilustrowane pismo socjalistyczne

„ŚWIATŁO“

poświęcone literaturze, sztuce, nauce i sprawom bieżącym. Wychodzi od lutego b. r.

Zeszytem 20-21 rozpoczęliśmy drugie półrocze (tom II) „Światła“.

W drugim półroczu „ŚWIATŁO“ będzie nadal wychodziło co dwa tygodnie w tym samym rozmiarze.

„ŚWIATŁO“ jest pierwszą placówką szerzenia kultury duchowej w masach.

Każdy kulturalny robotnik winien zaprenumerować.

Każde kółko oświatowe, każda biblioteka i czytelnia winny sprowadzać „ŚWIATŁO“.

Każdy winien popierać „ŚWIATŁO“ i jednać mu przyjaciół i prenumeratorów.

KSIAŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI.

BULETYN INSTYTUTU GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO Nr. 2 — zawiera pracę AL. BOGUSŁAWSKIEGO: — Preliminarze budżetowe Sejmików Powiatowych b. Królestwa Kongresowego na rok 1919-20.

Toż samo Nr. 3. Tadeusz Szturm de Sztrem. Obecne przesilenie walutowe.

WŁODZIMIERZ WAKAR: Co to jest rząd własny? Cena 2 mk. Nakładem Instytutu Gosp. Społecznego. L. T. Od przewrotu listopadowego do pokoju brzeskiego—z niemieckiego. Nakł. „Książka“.

WACŁAW GRABIAŃSKI: Rymy i Proza. Nakład Gebethnera i Wolffa.

DNIA 17 b. m. w TRAMWAJU Nr. 0 zostało skradzione towarzysze Jadwidze Głowackiej na jej imię wydane w miesiącu czerwcu, upoważnienie tow. Wydawniczego „Światło“ do zbierania udziałów i prenumerat.

Ostrzegamy towarzyszy przed nadużyciami, które mogą być popełniane przez przywłaściciela tego dokumentu.

DO PRENUMERATORÓW „ŚWIATŁA“.

Prosimy o przesyłanie pieniędzy tylko zapomocą przekazów pocztowych lub czeków P. K. O., gdyż odbieranie pieniędzy w listach wartościowych sprawia Administracji wiele trudności i utrudnia regularną wysyłkę pisma.

Wyszedł z druku ZBIÓR POEZJI

WACŁAWA BUDZYŃSKIEGO

p. t.

„SNY I RZECZYWISTOŚĆ“

nakładem Tow. Wyd. „ŚWIATŁO“.

WARUNKI PRENUMERATY, z przesyłką do domu: półrocze I-sze (od zesz. 1 do 1 lipca) — mk. 100, półrocze II — mk. 120, kwartalnie — mk. 60.

W Administracji miesięcznie mk. 12. Konto czekowe P. K. O. № 798.

CENY OGŁOSZEŃ: za tekstem: Cała strona 2000 mk., — pół strony — 1000 mk., jedna czwarta strony 600 mk. — jedna ósma strony — 300 mk., — jedna szesnasta strony — 150 mk. W tekście: przed rubryką „Z wydawnictw“ miejsce wiersza nonparelowego — 15 mk.

ADRES: REDAKCJI POLNA № 66, MIESZK. 54; ADMINISTRACJI WSPÓLNA 17.

Redakcja otwarta codziennie od 5 — 6 wiecz. — Administracja czynna codziennie od 10—1 i od 3—6.

REDAKCJA: JAN REMBOWSKI, JERZY SOCHACKI, ANDRZEJ STRUG, ZYGMUNT ZAREMBA.

Redaktor i Wydawca: Z. ZAREMBA. Kierownik literacki ANDRZEJ STRUG. Kierownik art. JAN REMBOWSKI.